

Grażyna Adamczyk-Lidtko

# Św. Elżbieta po wielokroć

## Elżbieta 1

Przyprowadził go Darek. Mały zabawny staruszek nie mówił wcale po polsku.

Przyjechał chyba z Hamburga. Zmierzwiony siwy włos wił mu się wokół głowy i opadał na plecy. Od razu było widać, że to prawdziwy artysta – w każdym geście, spojrzeniu i pewnym poczuciu wyniosłej wyższości.

Patrzył uważnie, ale życzliwie, z uśmiechem. Opowiadał ze swadą o swoim zawodzie i pasji konserwatora organów.

Przyjechał do Wrocławia restaurować instrument w Św. Elżbiecie. Od czterdziestu lat jeździł po Europie, by ratować stare instrumenty, które z pietyzmem doprowadzał do nowego życia, do niebywałej perfekcji.

Wrocławskie organy Św. Elżbiety pochodziły z XVI wieku, były piękne, pełne złotych detali, no może nie tak bogate i pomysłowe jak w oliwskiej katedrze, ale nie mniej ciekawe. Ale najważniejszy był ten dźwięk, który rozpierzał się pod sklepieniem, kiedy tylko się odezwał ten szlachetny wieloregistrowy instrument pod palcami muzyka.

W starym konserwatorze każdy nowy instrument, z którym miał do czynienia wzbudzał ogromne zawodowe emocje. Nie wiedział z jakim problemem spotka się tym razem i wywoływało to w nim nieopohamowaną ekscytację połączoną z oczywistą pewnością swojej zawodowej perfekcji.

## Elżbieta 2

Tego dnia przysłałam tu wraz z koleżanką z roku. Miałyśmy zrobić studyjny rysunek na zaliczenie. Dzidka nie znalazła dla siebie interesującego motywu i wkrótce wyszła z kościoła.

Zbliżał się wieczór, w świątyni było puisto i zacisznie, co dawało szansę na spokojne skupienie się nad tematem pracy. Zawsze lubiłam barokowy wystrój starych gotyckich kościołów mojego Wrocławia.

Ulokowałam się w ławce oddalonej od centrum i zastanawiałam się, który fragment wystroju wnętrza wybrać na temat rysunku.

Nagle, gdzieś ponad głową, z empory nad nawą główną odezwał się długi dźwięk piszczalek w głębokim, nosowym rejestrze, potem kilka pojedynczych tonów i nagle... pusty kościół wypełnił się fugą Bacha.

Poczułam jak muzyka przenika mnie do cna, na wyłot. Dookoła połyskały złotem

pelgające błyski nielicznych lamp i żyrandoli rozsianych pod sklepieniem i po zakamarkach naw.

Miałam nieodparte wrażenie, że kościół zaczął rosnąć, pęcznieć od dźwięku i za chwilę muzyka wypełniła każdą komórkę mojego ciała skupionego na studiowaniu piękna proporcji i światła nadchodzącego wieczoru, zaklętych w filarach i witrażach.

Wiedziałam... dzisiaj narysuję organy! Wyjęłam czarny „kubuś” z torby, przypięłam pinezkami do deski pół arkusz bristolu i zaczęłam studiować detale kształtów, i światła.

Dźwięk organów obudził jakąś pospieszną pasję, podniecił do działania, do śmiałego i zamasztywego konstruowania pionów i poziomów na papierze, a potem znów uspokajał, prowadząc wprawnie rękę z grubą kredką w miękkie plamy światłocienia.

To był prawdziwy i jedyny koncert – jednego artysty, którego nawet nie mogłam dostrzec – dla jedynego słuchacza. Ten koncert, choć niezamierzony przez nikogo był przeznaczony tylko dla mnie.

Wychodząc z kościoła, z niemal ukończonym rysunkiem, dostrzegłam zgarbioną sylwetkę kościelnego, który wychynął nagle z zakrystii. Zapytałam go kto gra i dlaczego tak na próżno, dla nikogo? Odpowiedział mi uprzejmie, że to student Akademii Muzycznej ćwiczy do dyplomu, kiedy nie odbywają się nabożeństwa.

Kilkakrotnie jeszcze zaglądałam do Św. Elżbiety przedwieczorną porą, ale już nigdy nie było mi dane usłyszeć muzyki.

## Elżbieta 3 (Sen o Elżbiecie)

Jest głęboka noc. Granatowa poświata spada na cały wrocławski Rynek. Frunę nie wiem skąd i po co, ale mamie mnie światło zapraszające ciepłym złotym kolorem do wnętrza kościoła Św. Elżbiety. Szeroko rozwarty portal zaprasza do środka, lecę więc jak ćma do światła. Złoty pomarańcz wypełnia cały kościół i jarzy się jak płomień w gotyckich oknach. Pomarańczowa poświata wabi do środka jakąś magiczną siłą, choć w portalu otwartym na oścież stoi dwóch halabardników ze skrzyżowanymi drzewcami.

Udaje mi się wśliznąć cichym lotem pod tyczkami halabard i pozornie nic się nie dzieje, nikt mnie nie zatrzymuje. Wpływam

więc do wnętrza wypełnionego gorącym światłem i z zachwytem obserwuję wysokie sklepienia i filary, połyskujące złotem posągi, obrazy...

Nagle zauważam, że za mną bezszelestnie podążają dwie dziwne postacie – jakby strażników, którzy nieoczekiwanie próbują zapolować na mnie.

Bujam pod sklepieniem, a oni jak w zwolnionym filmie suną pode mną i wnet spostrzegam, że ich sylwetki są niezwykle, obleczone w niebiesko-zielonkawę kombinезony. Ale te stwory nie posiadają głów, tylko ręce które wyrastają im prosto z karku i wiją się jak węże zaplatając o siebie nawzajem.

Obie postacie usiłują mnie schwytać, a ja próbuję wycofać się do wyjścia, ale tam nadal tkwią dwaj strażnicy o zaciętych twarzach, a ich skrzyżowane groźnie halabardy blokują drzwi.

Kolejny raz oblatuję nawy kościoła i nagle spostrzegam niewielkie gotyckie okienko na sporej wysokości w ścianie bocznej nawy. Zza niego syczy się jeszcze bardziej złota poświata zapraszająca do jakiegoś dalszego środka, który być może oznacza ucieczkę na wolność.

Niestety! Z przerażeniem dostrzegam, że w górnym narożu okna pojawia się wielki ostry topór czekający na szyję śmiałka, który spróbuje wydostać się tędy.

Budzę się ze strachu, że nie mam wyjścia, bo albo zetnie mnie halabarda, albo straszliwy topór, albo wpadnę w wężowe łapy strażników, które mnie uduszą, a może rzucą w ogień tego pozornie przyjaznego złoto-pomarańczowego światła.

## Elżbieta 4

Siedzimy na Reja w pracowni kolegi nad jakąś pracą na zaliczenie. Nagle telefon!

– Andrzej, przyłec do Rynku, Garnizony się pali!

– Co? Żartujesz. Elżbieta? Pożar? Jak to możliwe?

– Nie gadaj, tylko łap aparat i wal do Rynku!

Andrzej pospiesznie pakuje sprzęt do dużej czarnej torby fotografa. Z przejęcia aż zaczyna się jękać. Na koniec woła tylko:

– Chodź Olka, idziemy!

Prawie biegiem wpadamy na most Grunwaldzki. Z dała od centrum miasta bije łuna a nad Rynkiem latają skry i wznosi się ślup ognia i czarny dym.